№ 7.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 5. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Kiedy się zastanowimy nad pismami religijnemi, filozoficznemi, a wreszcie nad większą częścią tych, które się nie zajmują rozbiorem rzeczy przyrodzonych i zaopatrywaniem potrzeb fizycznych lub całych narodów, przyznać musimy, że wszystkie mają na celu ulepszenie moralne człowieka. Prócz tego mnóstwo jest instytutów praktycznych i to prawie odwiecznych, które to ulepszenie zrobiły głównym lub wyłącznym przedmiotem swéj pracy. Kościół każdéj religii, zakłady sztuk pięknych, a ztąd poezya, malarstwo, rzeźbiarstwo, nawet teatr, w swéj wyższéj doskonałości zawsze zmierzają do uszlachetnienia serca i ducha. W szkole i zgoła całém nauczaniu, w prawodawstwie, w organizacyach narodów i stowarzyszeń także przebija się dążność do ulepszenia. Rozpatrując się w dziejach i wypadkach od najdawniejszych czasów, przyznać trzeba, że ogrom usiłowań w tym względzie objawiono i dokonano. Tymczasem rzucając okiem po całéj ludzkości i oceniając stosunek tych ludzi, którzy na sercu i duchu pokazują pewną wyższość z ukształcenia pochodzącą, dostrzeże się, że ogromnie liczbą przeważające massy, nietylko nie świadczą o uszlachetnieniu rodzaju ludzkiego, ale niejako pokazują, że człowiek pierwotny, jako początkowy mieszkaniec ziemi, nawet lepszym być musiał. Postrzeżenie takie głębsze wprowadza na myśl, że wszelkie moralizowania, podnoszenia cnoty, a poniżania najgrubszego samolubstwa, są daremném rzucaniem grochu na ścianę. Ile to w ewanielii jeszcze mamy porównywań pomiędzy bogatym i ubogim, ile lat upłynęło od czasu pisania i w czyn zamieniania ewanielii, a przecież stosunek ten w mało czém zmienił się na lepsze, wielu zaś dowodzi, że w krajach wygórowanego przemysłu, nawet sroższą przybrał postać.

Kiedy obrócimy swoję uwagę na ulepszenia w tym lub owym narodzie, na korzyść wszystkich ludzi dokonane, to postrzeżemy podobno, że nie słowo i nauka, ani piękne sztuki tego były powodem i podstawą, lecz zawsze tylko jakieś wielkie wypadki. Postrzeżenie to jest wynalazkiem dopiero naszego wieku i dzisiaj też słyszymy o wyższości czynu nad słowem.

Jeżeli gdzie jest stanowisko jakiéj klassy ludzi, jakiego egoistycznego stowarzyszenia, które wywierało szkodliwy wpływ na bardzo znaczną większość, albo raczéj na ogół, to nikt kazaniem, moralną nauką, filozofią ani poezyą zwalić go nie potrafi, przed wszelkiém użyciem siły, która powoduje wielkie wypadki, zawsze zostaje wyrozumowaną konieczna potrzeba tego użycia, przez co słowo nie jest daremném, lubo zawsze dalszém od skutku, aniżeli sam czyn.

Zwalanie stanowiska zadawnionego, w jednych obudza namiętność i uniesienie dalekie od sprawiedliwości, a drugim nadaje ciężkie cierpienia. Dzisiaj, gdzie się obejrzymy, wszędzie słyszymy, że już nie słowa, lecz czynu potrzeba. Dla tego łatwo być prorokiem, że żyjemy coraz bliżéj wielkich wypadków; że te wypadki potoczą się z pewnym bólem, i że z nich wielkie wynikną skutki.

Niemasz wątpliwości, że wynalazki prochu, druku, odkrycia drog do wschodnich Indyi i odkrycie Ameryki obeznały dopiero ludzi z ich ciasném średniowieczném stanowiskiem, wywołały ruch w kościele, społeczeństwie i wszelkich stosunkach. Materya silnie wpłynęła na ducha. I w nowszych czasach wy-

nalazki połamały dawne stosunki i niemogą także pozostać bez wywołania wielkiéj na świecie zmiany.

Kto umie się uginać przed koniecznością i nie stawia jéj oporu daremnego, ten ulży sobie boleści, i dla tego, że tylko za szczęśliwych uważać się mogą, którzy przeszłość z przyszłością godzić potrafią.

Pieniactwo.

Powieść przez *B. Bor*.........

W miesiącu Czerwcu 1837. r. już się słońce wysoko podniosło i jasnym promieniem świeciło, kiedy w mieście W. nad rzeką Wartą położoném, pojawił się jakiś mężczyzna, mający może dwadzieścia kilka lat wieku, wzrostu więcéj jak średniego, twarzy białéj i kształtnéj, włosów ciemnych, oka modrego, w surducie czarnym modnie ukrojonym, w kapeluszu owoczesnéj mody, w rękawiczkach lśniących, i machając trzcinką od niechcenia, przechadzał się po równym bruku, co jest jedyną zaletą tego miasta, oglądał się na wszystkie strony i przypatrywał jego osobliwościom. Widział tu w czworobok obszerny rynek, zamknięty domostwami drewnianemi, do którego zbiega się kilka ulic, najludniejsza zaś żydowska, bez któréj podobno rzadko znaleść można miasta — dwie pod dachami studnie, z których woda wyciąga się za pomocą wielkich kół i łańcuchów — trzy jednopiętrowe z poddaszami murowane domy, z których dwa mają na sobie godła winogron olbrzymich i napisami kupców utrzymujących handel wina; na trzecim zwraca na na siebie wzrok rozpięty skrzydłami orzeł darty z koroną na wierzchu, trzymający w szponach jabłko i berło, w koło zaś jest napis: Sąd Pokoju powiatu W.... — Daléj ów mężczyzna przypatrywał się kościołowi farnemu, opatrzonemu wkoło grubym, od starości szarym murem — to znowu udając się ulicą sieradzką, która jest główną ozdobą miasta, przedstawia mu się klasztór Bernardynów z wielkim ogrodem, wkoło murem opasanym, na którego wieży widać zegar co bije godziny i kwadranse, a obok niego bardziéj w dole i bliżéj miasta, kościół panien Bernardynek; obróciwszy się zaś wzrokiem na prawo, wpadła mu pod oczy kamienica jednopiętrowa, dosyć obszerna, i najwięcéj jego zajęła uwagę. Dwa kasztany przed oknami z gęstemi gałęziami i wielkiém zieloném liściem, nie przepuszczają nigdy deszczu, a w gorące lato przyjemny chłód dają, pod ktoremi dla wygodnego spoczynku, stoi zielono malowana ławka. — Drzewa te gruby teraz rzucają cień, nie dopuszczały na okno ukosnie padających promieni słońca, gdzie właśnie postrzegł piękną twarzyczkę; okrągły i pełny jéj skład, białość i świeżość cery, czarny, gładko uczesany włos, zatrzymały jego wzrok na sobie: patrzał w ten punkt z zachwyceniem przez kilka minut, lecz dłużéj niepodobna było w takiéj zostawać postawie, szedł więc daléj wzdłuż ulicy, trzymając o ile mógł, uwięzione na lubym przedmiocie oczy. — Obok stał pusty dom także jednopiętrowy murowany, lecz niedokończony i już grożący upadkiem — zbliżył się do niego i zaglądając wybitemi oknami, wypłoszył puszczyka, który strasznym lotem wpadł w ów kasztan i zaczął się trzepotać. — Odstępuje od tego nieprzyjemnego widoku pustek, wraca się napowrót, chcąc spojrzeć jeszcze raz w miłe mu okno, ale owéj twarzy już nie postrzega, zasmucił się bardzo, a nie mając się naprędce kogo spytać, czyj jest ten dom i kto w nim mieszka, bo w małém mieście trzeba długo czekać nim kto nadejdzie, opuścił to miejsce bez pociechy. Z aromatycznego jednak zapachu przed tym domem i będącego nade drzwiami znaku, odgadywał, że w nim apteka się mieści. — Z tego okazuje się, że mężczyzna, co go tu na ulicy widzieliśmy, nie jest tutejszym, i że pierwszy raz musiał do do miasta W. przybyć, gdyż go każdy zajmował szczegół.

Nazajutrz był to czwartek, azatém dzień targu, który się tu raz w tydzień odbywał — miasto W. nabrało życia — i okazało się ludniejszém, żydzi rozstawiali tasze, porozstawiali na roścież wcześnie swoje kramy — czworoboczny rynek zajęły fury ze zbożem, kobiety z żydówkami twardy wiodły targ o sprzedaż masła i séra, napędzono mnóstwo trzody, która głuszyła przeraźliwie uszy: „Raus, raus mi ztąd! za grosz bulka nie apteka!“ ozwał się głos jakiś złośliwy, po niemiecku i po polsku — a dzwonek nade drzwiami będący, zadrżał dwa razy i stopniowo coraz słabiéj pobrzękując, oznaczył, że ktoś wyszedł — w pokoju zaś niezbyt wielkiéj przestrzeni, zastawionym słojami, słojkami, butlami, buteleczkami mającemi napisy aqua, spiritus etc., mającym na środku długi stół w kształcie wielkiéj skrzyni z wagą, z gwichtami wielkiemi, małemi i najmniejszemi, napełniony wonnością ziół i rozmaitych olejków, mężczyzna w podeszłym wieku, nizki, gruby, tłusty, na krótkich nóżkach, którego głowa dosyć duża, pokryta kilku tuzinami siwych włosów, na karku równéj grubości warownie spoczywa, a twarz cała golona, tłusta jak tuczona, bla-

da i połyskująca jak szkło, w szlafroku nie mogącym się dopiąć, w pantoflach krzyżowéj roboty, dźwigając przed sobą okrągły brzuszek, to zawijał w tytki sól glauberską, to wlewał we flaszki różne wody i spirytusy, to wiercił i tłukł w moździerzu, to ważył i odprawiał z największą składnością ludzi rozmaitego znaczenia i wieku, kobiety, mężczyzn, chłopów, szlachtę, panów i żydów, co tłumnie to z kartkami, to bez kartek przychodzili i wychodzili. — Przy tém zatrudnieniu wielką okazywał niecierpliwość kiedy kto tylko za sześć groszy brał, a jeszcze większą, kiedy często zdawać musiał i czas sobie marnował.

Wśród téj czynności zaszedł przed dom wolant w tęgie parę koni zaprzężony i wysiadł z niego mężczyzna wzrostu dobrego, przystojny i przyjemny, wszedł na pierwsze piętro, a bryczka odeszła i opodal się zatrzymała, co znaczyło, iż był odesłany. — Po upływie blisko pół godziny czasu, natłok ludzi zmniejszył się w aptece, i przyszła tu z przyległego pokoju kobieta wysoka, szczupła, i jakby widetę zastąpiła swojego męża, który zaraz hyżym krokiem potoczył się do tego pokoju, z którego ona przybyła, a potém do górnego udał się mieszkania, gdzie właśnie przed półgodziną przybyły wolantem mężczyzna, zrzucił z siebie zakurzone rzeczy i już w inne był ubrany, gdzie odwijał z papierków dukaty, odłączał ważne od lekich i do szkatuły chował.

— Nu jakże kochany Kazimierku — zaczął dopiero co przybyły mówić dyalektem niemieckim — dużoś dziś napisal recept i jak drogie?

— Napisałem dosyć wiele — odpowiedział pan Kazimierz M. — biedniejszym zapisałem ziółka tylko, bo droższych niebyliby w stanie kupić, a dobrze, że i cokolwiek wpłynie.

— Gut, gut — mówił znowu pan Krystyan B. do swojego zięcia — ale za to bogatszym same mineralne lekarstwa mógleś kazać zażywać i to viel, po kilka łyżek na godzinę, bo im więcéj wypiją, tém dla nas lepiéj.

— Recepty, com dziś napisał — mówił doktór — uczynią kilkanaście talarów, które z pewnością do téj wpłyną apteki i właśnie dopiero przyjechałem od Pana K., a ta bryczka, która mnie przywiozła, zabierze zaraz lekarstwo i oto jest recepta, podług któréj trzeba zrobić miksturę i pigułki.

Teść odebrał od zięcia przepis do zrobienia lekarstwa, czytał i kiwał głową, zdawało się, że postrzega w nim wielką w sztuce lekarskiéj pomyłkę.

— Ach kochany Kazimierku, coś ty zrobić! — z niejakimś wykrzyknikiem zwracał aptekarz lekarza uwagę — przecie wiesz, że pacyent bogaty tylko się drogiemi lekarstwami uzdrowić może, powinieneś mu więc zapisać najdroższe, zwłaszcza że już długo żyć nie będzie.

— Inne zaszkodziłyby mu — odrzekł pan M. i godząc nasz interes z jego zdrowiem, spodziewam się tém lekarstwem trafić na jego słabość.

Aptekarz kręcił znowu głową i kląskał na złe czasy. — Ach mój Kazimierku, ten rok bardzo nieszczęśliwy — mówił daléj — panow bardzo malo choruje, a z biednych to nie wielki zysk, tylko ziolka, ziolka i nic więcéj, ale mój Kazimierku, nim pójdę do apteki zrobić to lekarstwo, powiedz mi przód, czy upatrzyleś jaką wieś do nabycia, bo ja koniecznie tego chcieć, abyście sobie kupili jakie dobra, twoja żona ma téż ochotę na wsi mieszkać — moja apteka i twoje doktorstwo będzie szafować na to pieniądze.

— Z pomiędzy wszystkich — zaczął opowiadać pan M. — com jeżdżąc w różnych stronach widział, najbardziéj mi się podoba wieś G., leży ztąd o pół mili drogi, nad traktem wiodącym do miasta Kalisza, w pszennych gruntach, wysiew wielki, z wszech miar dla nas najdogodniejsza, bo mieszkając tak blisko miasta, mógłbym tu w mieście jako i w okolicy leczyć.

— So, gut, gut — przerwał mowę ucieszony aptekarz — i jak wiele ona kosztować będzie?

— Najgorzéj — prowadził daléj doktór — że nabycie jéj drogą dobrowolnéj sprzedaży jest utrudzającém i niekorzystném, gdyż dziedzic niewiadomo gdzie się znajduje, mimo tego, strasznie jest obciążona długami, wierzytelności przewyższają szacunek, które kupując z wolnéj ręki, potrzebaby wszystkie zapłacić, chcąc mieć spokojne dziedzictwo, ale za to można ją innym daleko mniéj kosztownym nabyć sposobem — obecnie zostaje w posiadaniu dzierzawném pani Ł., która jest separowana żona dziedzica i ma na téj wsi zahypotekowaną resztę posagu 18,000 złt. jaką sobie na niéj zabezpieczyła — mówiono mi nawet, że ona się chce koniecznie przy niéj utrzymać, i przekładano, aby jéj nie podsiadać. Ale tak ładnéj wsi niepodobna dla żadnych względów odstąpić, i ów sposób taniego i łatwego jéj kupienia, uda się przez nabycie summy bankowéj 22000 złt. zaraz po towarzystwie kredytowém ziemskiém umieszczonéj. Naprzód więc trzeba wnijść w układy z bankiem, wierzytelność jego przepisać na swoje imie, a potém rozpocząć subhastę, skutkiem przymuszonéj sprzedaży, długi spadną i pani Ł. ze swoją summą, jako nie

bardzo wysoko umieszczoną, pożegnać się i ze wsi wyjść musi.

Pan Krystyan B., słysząc opowiadanie zięcia trafiające zupełnie do jego przekonania, niezmiernie się ucieszył, na twarzy jego zajaśniała radość, uśmiech na trochę skrzywionych ustach zaigrał i półtora się pokazało zęba — poprawił sobie rękoma brzucha, potarł czoła, pogłaskał głowę, chcąc poprawić włosów, których nie było — krótkiemi nogami przebiegł pokój, poklepał Kazimierka po ramieniu z zadowoleniem, że umie o sobie radzić — że nie utraci posagu córki, ale owszem pomnoży, nietylko przez pisanie recept, ale nawet przez spekulacye. Jakoż mówiąc bezstronnie, pan Kazimierz M. posiadał wielką znajomość sztuki lekarskiéj, początkowo był wojskowym lekarzem w pułkach polskich, odprawił więc wielką praktykę i przytém miał ślepe szczęście w leczeniu, wielka ilość chorych pod jego ręką przychodziła do zdrowia, stał się słynnym i przez to przyszedł do znacznego majątku. Zaraz to podłechtało jego dumę, wspólnie z teściem i żoną postanowił nabyć dobra ziemskie i nieszczęśliwym sposobem zwrócił zazdrosne oczy ua wieś G., która już od kilkunastu lat była w ciągłém posiadaniu pani Ł. Pierwiastkowo mieszkała ona w niéj razem z mężem jako dziedziczka uważana — złe losy w spółce z małżonkiem zrządziły, iż wieś została zawikłana w długi i ze znacznego posagu który wniosła, ledwie część hypoteczną ocalić mogła, późniéj posiadała ją jako dzierzawczyni, biorąc takową po ukończeniu się jednego trzechlecia drogą publicznéj licytacyi na następne lata, bo tak formalność mieć chciała, a jéj rzędność, dobre prowadzenie gospodarstwa i nieprzerwane posiadanie, nadawały jéj przymiot dziedziczki i nikt dotąd dobrém sumieniem nie śmiał pomyśleć, aby podsieść dzisiejszą posiedzicielkę. Było jéj celem i nadal tę wieś w swych rękach trzymać, od długów uwolnić, i dobrym rządem do pierwotnego stanu przywrócić. Inni wierzyciele mając sobie uiszczane procenta, i widząc w dobrym stanie utrzymywaną wieś, byli zadowoleni, zgoła uważając z jakiego bądź stanowiska, posiadanie wsi G. przez dzierzawczynią, było na bardzo prawnych i moralnych oparte zasadach, o czém Kazimierz M. w duszy był przekonany, i nikt bez pokrzywdzenia jéj mienia, a oznaczenia się cechą wydziercy jéj spokojności zakłucać nie mógł.

— Raus, raus, za grosz bulka nie apteka, ha, ha, ha — z uśmiechem powtórzył chłopiec idący przez miasto i niosący pudełko blaszane — i gdzież ja tego szuwaksu za grosz dostanę? — mówił daléj do siebie — muszę chociaż od żyda kupić, bo prosić mu się nie będę, kara boska z tymi aptekarzami, już do nas to się ze wszech stron cisną, niedługo się człek ojczystym językiem nie rozmówi, i któżby to wiedział, że słowo raus znaczy aby wyjść za drzwi, alem go się teraz nauczył i będę pamiętał, a jakaś diabla maniera u nich, że jak się tylko z biedy wygryzą, to zaraz zhardzieją, i teraz już za grosz szuwaksu sprzedać niechce, możeby się wreszcie ułaszczył na grosz polski, mający w sobie dwa fenygi, ale dla tego może nie chciał sprzedać, że wiedział iż jestem od rejenta i że szuwaks ten miał być dla niego — bo się niecierpią jak dwa koty w miechu. — Chłopiec powrócił do domu i opowiedział ową przygodę, iż wbrew swojéj woli za drzwi wyjść musiał; nabawił głośnego śmiechu rejenta, który umyślnie, czyniąc sobie z aptekarza igraszkę, za grosz po szuwaks do niego posłał. Lecz odtąd już z téj apteki nic nie kupował, a w koniecznéj potrzebie do innego posyłał miasta, chociaż w bliskiém sąsiedztwie mieszkali, nie było między nimi żadnéj przyjaźni, owszem tchnęli ku sobie jak dwa wrogi, najzaciętszą nienawiścią.

Ozwał się głos fortepianu w kamienicy mającéj przed oknami dwa kasztany i melancholijną zawiódł dumkę, potém ucichło, a panna Konstancya ubrana w sutą karmazynową suknię i odziana na ramionach leką chusteczką, spuszając z klawiszów drobne i białe ręce, i składając do siebie rozciągnione na oktawach palce, wstała z krzesła, wiotką postacią posunęła się przez pokój skocznie i zamaszysto, puszczając się niby ku oknu Mazura, w przelocie przejrzała się trochę w lustrze, ujrzała swoje jasne i piękne pod ciemną brwią oczy, poprawiła włosów, i usiadła do haftu chustki.

— Oto znowu idzie ten sam — mówiła z uśmiechem przy oknie pracująca — wszak ładny chłopiec, on tu zawsze spojrzy, ile razy tą ulicą przejdzie, co się dosyć często zdarza, zdaje się, że żyje w przyjaźni z państwem J. — Pamiętasz Karolino jak mnie ten puszczyk przestraszył, żem aż z tego miejsca uciekła i od tego czasu pewnie już będzie temu ze dwa tygodnie, siedzi mi w pamięci ten złowieszczy ptak, wtenczas go pierwszy raz zobaczyłam.

— Widać, żeście sobie nawzajem wpadli w oczy moja Kostusiu — odpowiedziała siostra również kształtnéj figury, podobnież w czerwoną suknię ubrana i mająca trochę do niéj podobieństwa — ale nic z tego romansu nie będzie, ten co idzie, zapomniałam jego nazwiska, jest urzędnikiem przy tutejszym sądzie pokoju, co niedawno przybył na posadę w miejsce tego, co z innymi dostał degradacyą za to, że na instalacyi sędziego pokoju Jaśnie Wielmożnego Woj-

ciecha M. podczas wystawnego obiadu i dostatku wina pokłócili się, tak, iż ledwie się samemu sędziemu nie dostało, a wiesz przecie postanowienie naszego ojca, że wolałby się na marach widzieć, jak z nas którą za jakiego urzędnika wydać, życzy sobie owszem abyśmy popochodziły za doktorów jak Kazimierzowa, lub aptekarzy, utrzymuje, że te dwa zawody w życiu człowieka są najzyskowniejsze — wszak wiesz, że nawet w ogólności nienawidzi tych wszystkich, którzy jakikolwiek mają udział w służbie publicznéj i wstępu im broni.

— Ach to prawda — odpowiedziała zasmucona panna Konstancya — że Kazimierz dorobił się już majątku, i ojciec uzbierał nam posagi, ale czyż to nasza familia ma się tylko w słojkach i butelkach konserwować, przecież i urzędnicy sądowi są szczęśliwi i gdybyśmy wszyscy byli aptekarzami i doktorami, któżby pigułki kupował — tu się z pigułek rozśmiały, a w tém z przyległego pokoju, to jest apteki przyszedł po coś stary Krystyan, córki przestały rozmawiać wstrzymując uśmiech, bo się bały słowa przeciwko pigułkom albo soli glauberskiéj powiedzieć gdyż ojciec miał dla swych medycyn wielki szacunek.

Po upływie dwóch niedziel od czasu, kiedy pan Kazimierz lekarz przyjechawszy od pacyenta, upatrzył sobie wieś G. i objawił swemu teściowi sposób taniego jéj nabycia, dzień był pochmurny i wietrzyk zachodni powiewał; od Kalisza toczy się jednokonna bryczka traktem ku wsi G., w któréj siedzi ktoś w charakterze pana i furmana — między wyniosłemi topolami skręciła na lewo i zaszła prosto przed duży dwór dawniejszéj mody budowania, pod wysokim dachem, jakby dwa na kupę włożył i z facyatą pierwsze piętro stanowiącą — wysiadł z niéj mężczyzna, dobył z małego kufereczka jakichsiś papierów i wszedł do pokoju. — Lecz niedługo tam zabawił, wsiadł znowu na bryczkę i odjechał.

W tymże pokoju przy okrągłym stole, siedzi osoba płci żeńskiéj, wzrostu niskiego, tłusta, z kolorami na twarzy i czyta — na żądanie Kazimierza M. lekarza medycyny i chirurgii w mieście W. zamieszkałego, jako nabywcy summy bankowéj 22000 złt. — daléj czytała cicho — było to wypowiedzenie przez pana Kazimierza cessyonaryusza banku, jako pierwszy krok w celu nabycia wsi G.; wypowiedzenie to zostało na gruncie wedle przepisów procedury dla dziedzica na jéj ręce doręczone. — O chciwy człowieku — mówiła po przeczytaniu pani Ł. z oburzeniem na twarzy — poznałam ja w tém piśmie twój zamiar, tobie się nie bankowéj summy, lecz wsi zachciewa, śmiesze zakłócać moją spokojność, od tylu lat tu mieszkam, na publicznych licytacyach nikt nie miał serca ze mną o dzierzawę się ubiegać, a ten chciwiec cudzéj własności nabył dla tego tylko summę, aby rozpoczął o nią subhastacyą i mnie ztąd wyrugował — czyż mało mu na doktorstwie! albo czyż mało jest takich wsi, któreby bez żadnego podłego zachodu, owszem z chęcią sprzedawcy mógł kupić. Lecz jaki zamach, taka obrona, on postępuje formą prawa, i ja nią iść będę — mnie jako wierzycielce służy użycie praw dłużnika — chcąc się więc przy posiadaniu dalszém spokojnie pozostać, wypada mu wypowiedzianą summę zapłacić.

Po upływie czasu prawem przepisanego, ponieważ stósownie do nakazu pan Kazimierz M. nie miał sobie złożonéj summy, zjechał na grunt komornik G. z miasta Kalisza, i zajął wieś na sprzedaż, opisał stan budowli i zasiewów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POEZYA.

Matka męża.

Jadąc z Zgierza do Warszawy,
Traktem bitym szosą zwanym,
Gdy się wjedzie w powiat Rawy,
Z lewéj strony jest widzianym,

We wsi Woli pod Strykowem,
Co Błędową się nazywa,
Dworek w guście już nie nowym,
Ze słomy go dach pokrywa.

Dawniéj pono wsi dzierzawca
W dworku tymże zamieszkiwał,
Gospodarstwa dobry znawca,
Trzydzieści lat jéj używał.

Gdy już wiek miał stósowny,
Zaczął szukać sobie żony,
Lecz warunek ten kładł główny,
By być przez to zbogacony.

Dowiedział się, że majętna
Gdzieś daleko panna była,
Ale za to mniéj ponętna,
Garb na plecach swych nosiła:

Mimo tego dusza czysta
Ciało chrome ozdabiała,
Dobroć serca oczywista
W jéj oczach się odbijała.

Lecz dla niego jéj szkatuła
Osobliwsze miała wdzięki,
Jego dusza była czuła,
Że usłyszał złota dźwięki.

Przysięgał się, że ją kocha,
Że ją widzi najpiękniejszą,
Że u niego myśl nie płocha,
Że jéj kibić najkształtniejszą.

Biedna temu uwierzyła,
Przyszło, że się z nią ożenił,
Z nim mieszkać się sprowadziła,
Lecz gust mu się wnet odmienił.

Matkę swoją miał przy sobie,
Co zwać jędzą można było,
Nie mogły się zgadzać obie,
I z nią mu się już sprzykrzyło.

Stara wszystkiém dysponuje,
Do roboty bardzo chciwa,
Bytem syna się frasuje,
Na synową ledwie żywa.

Czego codzień się znachodzi
Dość przykładów — rzadko kiedy
Z synową się matka zgodzi,
Lecz początkiem jest do biedy;

Pani młoda bez znaczenia
Choć majątek tu swój wniosła.
Niechcą jéj dać pożywienia,
Że piękniejszą nie urosła.

Nawet z domu pozbywają,
Radziby jéj prędko zguby,
Bo majątek w ręku mają,
I spełniły się rachuby.

Aż kobiety co śniadanie
Swym na pańskie przynosiły,
Przez litosne względy na nię,
Swemi strawy ją karmiły.

Owa jędza, matka męża,
Swą synowę nieszczęśliwą,
Jakby żądłem złego węża,
Kąsa mową tak złośliwą,

Syna na nią podburzała,
Choć już była nielubioną,
I tak mocno w tém działała,
Że zupełnie gardził żoną.

A gdy razu téż pewnego
Synową swą przeklinała,
Co wskróś przeszło nie jednego:
— Abyś jutra nie doczkała. —

Piekło przekleństw wysłuchało,
Lecz synowa zdrową była,
A co klęła téj się stało,
Rano stara już nieżyła.

Odtąd zaraz w tymże domu
Strach jakiś był widywany,
Nieprzepuścił on nikomu,
Każdy przezeń zaczepiany.

Kiedy przyszło jakie święto,
Co obchodzić należało,
Gdy mszą świętą już zaczęto,
To za piecem coś stękało.

A po słońca znów zachodzie,
Skoro szara już godzina,
Zaraz ludziom na przeszkodzie,
Już pokusy swe zaczyna.

Zastępuje w ciemnéj sieni,
Puszcza strachy, włos powstaje,
Przesuwa się nakształt cieni
I na górę się udaje.

Tam zamiata, coś uprząta,
Coś przewłóczy, trzeszczą belki,
Gospodyni niby krząta,
Przestrasza się mały wielki.

Rzuca drzewem na dziewczyny,
Garnki tłucze i przewraca,
Nie ma znaku, ni przyczyny,
Wszystko w stan swój jakoś wraca.

A w Sobotę do północy,
Jak bieliznę tak magluje,
Z całéj siły z całéj mocy,
Lub żelazkiem co prasuje,

To przerzuca papierami
Na komodzie co leżały,
To otwiera, trzaska drzwiami,
Zdaje, że się połupały.

Kiedy pora jest do spania,
I już wszyscy spoczywają,
Słychać jakieś tam stąpania,
Co ludzkiemi być się zdają.

Gdzieś z zapieca się wysuwa,
I po izbie postępuje,
A kto nie śpi, raczéj czuwa,
Nad tém łóżkiem się wstrzymuje.

Jakieś widmo z bladą twarzą,
Oczy w dole gdzieś zapadłe,
Niby próchno tak się żarzą,
Lica z ciała jak wyjadłe;

Ręce długie i wyschnięte,
Same tylko martwe kości,
Skórą trupią są opięte,
Usta krzywią się ze złości.

I do twarzy się przymyka,
Aż na niego biją poty,
Ręką zimną się dotyka,
Parska w oczy jako koty.

Więc to matka ówczesnego
Wsi dzierżawcy, co nie miała
Ku synowéj nic skłonnego,
Lecz nań syna buntowała.

Co ją klęła słowy psiemi,
Pokutować za to musi,
Odpoczynku nie ma w ziemi,
I w tym domu oto kusi.

ROZMAITOŚCI.

— W Paryżu teraz wielki panuje zbytek na dworze konstytucyjnym. Królewicz Nemours, znany z zamiłowania swego form arystokratycznych przepisuje etykietalne ubiory dla swych gości i dobiera sobie samych hrabiów i markizów na bale. Nikt sobie nie wystawi, jak mało jest teraz nieszlachty we Francyi. Każda niemal rodzina wydobywa okurzone szpargały lub dowody, że kilku jéj przodków walczyło lub zginęło pod Saint Jean d'Acre, i wdziewa jedwabne pończochy i trzewiki z ogromnemi klamrami, by być na salonach królewicza Nemoura. Niektórzy dobierają jak najdłuższego ballastu do swoich tytułów, jak n. p. dwuznaczne Duval de Saone et Loire i tym podobne. Nie we wszystkich atoli kołach wymagają tych tytułów. U księżnéj Czartoryjskiéj jest mięszane towarzystwo i niejeden deputowany pozostawia za drzwiami swe „de Saone et Loire. Mimo to, bale i tam są bardzo kosztowne i wystawne i odbijają wesołością i gwarem w porównaniu z balami u lorda Normanby. U niego wszystko teraz odbywa się piano—pianissimo, zaledwie słychać tam poślizgiwanie atłasowego trzewika, tak że tu się zdają goście tańczyć po wulkanie, a tam w samym wulkanie.

— Pan Brett ustawił w Londynie elektryczno magnetyczny telegraf, zapomocą którego wiadomości telegraficzne mogą być drukowane. Electric printing telegraph ustawiony jest od dawnego czasu w Ameryce na przestrzeni 300 miles, pomiędzy Filadelfią i Pittsburgiem i okazał się praktycznym. Według dziennika Standard czyniono doświadczenia u pana Brett i wydrukowano za pomocą telegrafu 90 liter w minucie bardzo czytelnych.

— Dnia 2. Marca odegrano w teatrze Adelfi w Glasgowie komedyą przed zasłoną. Gdy pani Bourgh ulubiona aktórka pokazała się na scenie, patrzał na nią jeden z widzów, wysoki i barczysty wojskowy, z nadzwyczajném zajęciem, wstał nawet parę razy, a nakoniec zawołał z powszechném zadziwieniem: „toś ty Elżbieto moja żono!“ Artystka zemdlała i niemogła daléj odgrywać swéj roli. Dyrektor teatru pobiegł do mężczyzny, aby się przekonać dla czego on jéj grze przeszkadza. „Zaręczam panu, odpowiedział nieznajomy, że to jest moja żona, któréj od lat dziewiętnastu niewidziałem. Byłem za granicą i nigdym o niéj niesłyszał; miałem ją za umarłą, czyli możesz się pan dziwić, że mnie to poruszyło?“ Dyrektor na to oświadczył, że ta artystka od trzech lat jest w jego towarzystwie, jéj mąż Bourgh umarł, a sama zawsze się odznaczała przykładném życiem. „Miała męża! moja Elżbieta,“ wołał obcy, „muszę ją widzieć, ona jest moją przecie żoną. Jestem porucznikiem Lewis i powróciłem z moim synem z Indyi. Ma teraz lat 22, 6 stóp wysoki, wyborny chłopiec, obaczysz go.“ Dyrektor nie wiedział co robić, poszedł na scenę zdać z tego sprawę, co słyszał. Artystka wcale się niezapierała, a długo rozdzieleni małżonkowie, obchodzili uroczystość widzenia się, które trudno opisać. Wszystko też się wyjaśniło. Para ta młodo się ożeniła, kiedy on był prostym żołnierzem, a ona początkującą aktórką. Pułk jego otrzymał rozkaz udania się do Indyi, napróżno prosił, aby mu dozwolono zabrać ze sobą żonę, bo liczby kobiet niemożna było przekroczyć,

za to zezwolono na zabranie trzechletniego syna jego. Przez lat dziewiętnaście nic niesłyszał o swéj żonie. Posuniętym został na wyższy stopień i nie ożenił się, bo go syn pocieszał w osieroceniu. Biedna żona dowiedziała się w ośm lat po oddaleniu że mąż jéj zginął w jednéj bitwie, poszła za mąż, który na jéj szczęście umarł. Dnia 10. Marca pobłogosławił duchowny powtórnie w kościele glasgowskim parę tak długo rozdzieloną, w obec niepoliczonego ludu.

Dnia 26. Marca ukończono w Wenecyi studnią artezyjską, głęboką na 60 metrów. Woda wytryskująca nad ziemię ma to do siebie osobliwego, że za dotknięciem światła, najpiękniéjszym pali się płomieniem, rozwijającym się z gazów, któremi woda jest przepełniona.

— W Londynie znajduje się 70 ulic Jana, 47 Jakóba, 52 królewskich, 44 nowych, 46 królowéj, 30 ulic Yorka, 15 Welingtona i t. d. Wystawmy sobie teraz biedaka szukającego swojego przyjaciela, o którym nic więcéj niewie, jak że mieszka n. p. na królewskiéj ulicy pod liczbą 10., a po przebieżeniu 51 ulic królewskich dowie się nakoniec na 52., pod liczbą 10, że wyprowadził się właśnie pod liczbę 17, na ulicy królowéj.

— Pewien duchowny z Szlezwik-Holsztynu opowiadał podróżującemu Kohl, że raz odbył chrzest u bogatego chłopa w Marschland, na którą uroczystość było do niego 40 osób zaproszonych. Kawę pili wszyscy z nowego srebrnego serwisu. Wniesiono następnie czekuladę, i zastawiono inny srebrny serwis, a kiedy dano herbatę, wydobył gospodarz z okrętu srebrnego trzeci serwis, bo uważał za rzecz niestósowną, aby raz przedstawiany serwis myto i powtórnie gościom go przedstawiano.

MODY.

Paryż, dnia 7. Kwietnia 1847.

Chociaż bywają jeszcze bale, matinées dansantes a następnie na nich ukazują się wytworne ubiory, jednakowoż mody wiosenne przedewszystkiem zajmują wszystkie damy. Znajdziem dla nich jedwabie w łagodnych kolorach, na tle perłowo lśniącem, sewillany z tłém połyskującém, kitajki i foulary, jak śród lata i nakoniec na ubiory negliżowe nankiny jedwabne, płótno chińskie, albańskie, w Paryżu wyrabiane muśliny i t. d.

Kształt sukien mało się różnić będzie od dawniéjszych, noszą przynajmniéj, jak dotąd gładkie, a często sztywne staniki, obcisłe rękawy z wystrojem naramiennym i małemi wyłogami lub też suknie z drogich tkanin, u których rękawy u góry zupełnie obciśle leżą, ku dołowi się rozszerzają, są sznurowane lub mają otwory utrzymywane małemi bortami i białe podrękawy z tak lekkiéj tkaniny, że widać przez nie ramiona. Falbany noszą szerokie w zęby, lub też w łuki; pierwszego rodzaju do sukien pasiastych, drugiego do przezroczystych tkanin.

Trudniejszém atoli jest pytanie, co będą nosić, czy mantylle, czy długie szale, lub wizytki? Odpowiemy że wszystko będzie modném, byle długie szale były z jedwabiu lśniącego, wtyle wycięte i w całéj długości osadzone wązkiemi skręcanemi fręzlami w podobnym kolorze. Mantylle odznaczać się będą krojem hiszpańskim i przypominać Sewillę, — wizytki nakoniec ku górze znacznie się zmienią w kształcie i nazywać się będą bearnerami, skoro otrzymają u góry maleńki kapturek, który da się zawdziać na głowę i jest wystrojony czarnym aksamitem i czarnemi koronkami. Ten rodzaj wizytek nosić będą z niebieskiego atłasu francuzkiego. Ireną zaś nazywać się będzie wizytka jeżeli jest wyrobiona z mieniącego się atłasu, szerokie pasamony tworzą u niéj pewien rodzaj berty, która przechodzi z jednego na drugie ramie, i każde z nich otacza. Jardinière (wizytka ogrodowa), skoro jest po prostu, ale z wdziękiem zrobiona, na ubiór w domu lub ogrodzie i zapomocą sznuru gładko do ciała przystaje.

Kapelusze także uległy niejakiéj zmianie. Obwód nad licami jest nieco krótszy. Lekkie kapelusze są z krepy, tulu, koronek, słomy, a kwiaty do nich, bzy w rozmaitych kolorach, maliny i dzikie morwowe kwiecie i owoce.

Objaśnienie ryciny.

1. Strój głowy algierski z tulu illuzyjnego. Suknia tuiowa z dwiema powłokami, złotem haftowanemi.
2. Kapelusz aksamitny, frak z czarnego sukna, biały krawat, kamizelka z haftowanéj piki; czarne pantalony kazimirkowe.
3. Strój głowy z piór i kwiatów. Suknia tulowa z trzema powłokami ujętemi w pióra i kwiaty. Szarfa z gronostajów.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*